NUMER 41. DNIA 11-go PAŹDZIERNIKA 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

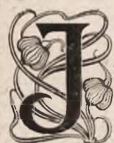
DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

RZĄDY ROSYJSKIE W KRAJU TARNOPOLSKIM.

1809 — 1815.



Jako trzeci tom, wydawanych przez prof. Szymona Askenazego „Monografji w zakresie dziejów nowożytnych“ wyszła niedawno obszerna praca p. Jana Leszczyńskiego, omawiająca pięcioletnie panowanie Rosji w obwodzie tarnopolskim. Rządy te, jak powiada autor, to akt dziejowy, drobny na pozór, incydentalny, zaledwo dostrzegalny pośrodku ogromnych wypadków ówczesnych, odegrany całkiem na uboczu wielkiej sceny europejskiej, a przecież niosący w sobie poważne ostrzeżenie dla Austrji i Galicji, posiadający rzeczywiście aż po dziś dzień specyficzną doniosłość historyczno-polityczną, zawartą w samem już znamiennem brzmieniu tych słów zapomnianych, a znaczących: „Rządy rosyjskie w Kraju Tarnopolskim“.

Sama więc aktualność przedmiotu, nie licząc już tego, że fakt krótkiego panowania Rosji w Tarnopolskiem, przez nikogo dotychczas należycie wyświetlonym nie został, wywołała tę cenną książkę i ogłoszenie równie cennego materjału, który spoczywał zapomniany w archiwum Namiestnictwa we Lwowie, w manuskryptach bibljoteki Raczyńskich w Poznaniu i wielu, coraz to bardziej niszczejących zbiorach prywatnych.

Dążeniem Rosji, przynajmniej w pierwszych latach po rozbiorze Polski, było zachowanie z dawnego państwa polskiego dla siebie najwięcej ludności litewsko-ruskiej, jako najsposobniejszej do etnograficznego zespolenia ze sobą. Z dążenia tego, któremu wiele faktów dziejowych, a jeszcze więcej niedokonanych rokowań dyplomatycznych jaskrawy daje wyraz — wynika chęć po stronie rosyjskiej, posiadania Galicji wschodniej. Chęć ta wije się nieprzerwanem pasmem przez całe sto lat dziejów naszych porozbiorowych i tak, jak w czasie rozbiorowym, w czasie wielkich przewrotów napoleońskich, tak samo i dziś nic nie straciła ze swego ostrza i aktualności; mimo, że raz tylko weszła w fazę częściowego urzeczywistnienia, to jest w czasie rosyjsko-francuskiej kampanji przeciwko Austrji w r. 1809. Na mocy bowiem pokoju szönbruńskiego, który zakończył tę kampanję, otrzymała Rosja t. zw. Kraj Tarnopolski, obejmujący obok obwodu tarnopolskiego, także części obwodów zaleszczyckiego i brzeżańskiego, razem nominalnie ogółem 400.000 ludności. Krajem tym rządziła Rosja, aż do zwrócenia go Austrji na mocy uchwał kongresu wiedeńskiego w r. 1815.

Organizacją i administracją tego kraju kierował pod berłem rosyjskim senator Theyls, przy pomocy renegata Michała Starzeńskiego, niegdyś starosty brańskiego. W chwili przejścia

pod panowanie rosyjskie, kraj ten był wyniszczony kompletnie przez Austrję, a ogołocił go do reszty komisarz oddawczy austrjacki Dyke, który wywoził stamtąd na gwałt gotówkę, depozyty duchowne, obligacje skarbowe, sumy włościańskie i w ogóle, co tylko się dało.

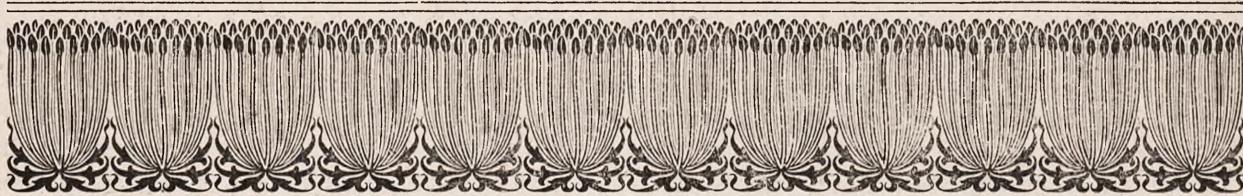
Mimo to, nowy nabytek był dla Rosji bardzo cenny, jako zadatek na całą Galicję wschodnią. Dlatego też nadano rządom rosyjskim odrazu charakter opiekuńczy i dobroczynny w porównaniu z poprzednimi rządami austrjackimi. Chodziło o sympatję nowych poddanych tarnopolskich, ażeby tędy oddziałać na nastrój ogólny pozostałej ludności wschodnio-galicyjskiej. Dla wyczerpanej Józefińsko-Leopoldyńsko-Franciszkańską gospodarką austrjacką ludności nastąpiła teraz ulga w podatkach, w poborze wojskowym, dopuszczono pozornie żywioł miejscowy do uczestnictwa w zarządzie lokalnym, ustanowiono honorowe godności marszałków szlachty okręgowych i krajowego, a oprócz tego wszystkiego, urządził Theyls w starym zamku tarnopolskim „Kasyno tańcujące“ dla szlachty, wyprawiał wspaniałe bale, jednem słowem zyskał sobie miano dobrodzieja kraju Tarnopolskiego.

Ale równocześnie z temi innowacjami, pojawiły się w Kraju Tarnopolskim: kalendarz juljański, sankcje karne z Żółtej księgi wojskowej, paszporty, bumażki, drapieżna rosyjska administracja, rozluźnione i niepewne sądownictwo, nawet jakiś nieznany język polsko-rosyjski, mający być przejściowym do czysto-rosyjskiego.

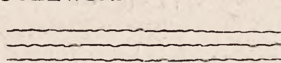
Gdy tak Rosja była na najlepszej drodze do zrusyfikowania kraju Tarnopolskiego — nastąpiły dalsze, znane powszechnie wypadki, zakończone kongresem wiedeńskim, na którym zupełnie niespodziewanie i tylko dzięki nieudolności paru swoich polityków, oddać musiała Austrji, Kraj Tarnopolski, nie wyrzekając się jednak wcale dążenia do opanowania Galicji wschodniej, jak tego dowodzi plan zbrojnego wkroczenia do Galicji z r. 1829, zamiary cesarza Mikołaja I. w marcu r. 1846 i t. d.

Taka jest w głównych zarysach myśl i treść książki p. Jana Leszczyńskiego. W sposób dokładny, ściśle naukowy, na nieznanych źródłach oparty, wyświetla ona jedną, wielce ciekawą kwestję historyczną i to stanowi wartość dzieła dla polskiej nauki, podczas, gdy piękny język, plastyczność opowiadania, tworzy jej wartość ogólną i publiczną.

P. Leszczyński — „jestto — jak powiada prof. Askenazy w przedmowie do niniejszej książki — jeden ze zdrowej i tęgiej falangi najmłodszych historyków, po których energji i zapale obiecujemy sobie wiele dobrego dla nauki polskiej“.



WACŁAW SIEROSZEWSKI



POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(15)

Wrzawa wciąż się wzmagała. Nie robiła ona już na Karskim wrażenia, zbyt często ją słyszał. W miarę jednak, jak wsłuchiwał się w oddzielne wyrazy, ogarniało go wzburzenie:

— Anno, muszę iść... Tam istotnie zanosi się na coś niezwykłego.

— Poczekaj, i ja z tobą... Zabiorę Olesia!— szeptała pani Anna.

Słyszał, jak szczękały jej zęby.

— Nie, nie! Będzie gorzej... zaraz wrócę!

I nie czekając na zgodę żony, skoczył na ziemię, lecz burza u ogniska już była ucichła. Oryle rozmawiali przyjaźnie ze starszyzną szkuty. Wysłany po kotły Spirydion wołał na Niemca; Żygani, Wiarus i Achmetka znosili drzewo. Karski dostrzegł beczułkę w ręku Damiana i dys-

kretnie się cofnął. Spotkał żonę w pół drogi i podał jej rękę.

— Chodź!... Sprawa załatwiona, ale... czem się to skończy, nie wiadomo. Daruj, że lekkomyślnie naraziłem cię na tyle przykrości...

— Stefanie, nie mów tak, czyż sama nie chciałam wyjechać coprędzej!...

— Ci ludzie są istotnie źle płatni, wyzyskiwani — mówił, nie zważając na nią. — Żyją bez jutra... Korzystamy z ich biedy i lekkomyślności, a kiedy budzi się w nich poczucie własnych praw, spajamy ich wódką... Nie uważasz, że jest coś ohydnego w naszem milczącem na to przyzwoleniu... Ba, w cichości serca cieszymy się z gładkiego rozwiązania zatargów... Silny, młody, syty i ciepło odziany jadę na karkach tych ludzi... Dlaczego? Jakiem prawem?... Skoro zaczynam rozważać ten stosunek spokojnie, sprawiedliwie, wydaje mi się on niesłychanie dzikim!... Nieraz bierze mnie ochota przyłączyć się do nich, ulżyć im, ale wstrzymuje mię jakiś głupi przesąd!

— Wcale nie przesąd. Sądzę, że nie masz żadnych obowiązków względem kupców lub skór Damiana, które właściwie należałoby rzucić. Cóżeśmy winni, że za mało ma ludzi... — przeczyła gorąco Anna.

— Tego zrobić nie mogę. Ale nawet, gdybyśmy cały ciężar z łodzi zrzucili, oni by dalej nas wieźli...

— Gdyby wszyscy poszli do sznura, to rozumiem, ale tak — coś ty gorszego od tych sklepikarzy?...

— O to właśnie chodzi, że chciałbym być lepszym, a dla tych, co ciągną, jestem taki sam... Nawet gorszy, bo... nie pocieszam ich wódką!... Idą w łachmanach, źle odżywiani, smagani przez słotę... Nogi im brzękną i krwawią się, piersi i ramiona ścierają do kości... a tymczasem ja tyję sobie i nabieram rumieńców... Wiedziałem, że tak jest, ale działo się to gdzieś daleko, przykryte księżycem drobnych, ułudnych pozorów... Obecnie po raz pierwszy ujrzałem na jawie gromadę ludzi... ciągnących łódź życia!... I... nie mogę... nie mogę... — powtarzał z przejęciem.

Pani Anna porywczo zarzuciła mu ręce na szyję.

— Masz rację, ale co począć, co począć? Usprawiedliwia nas mus... Myśmy doprawdy strasznie nieszczęśliwi ludzie, gdyż dobrze nam może być jedynie na dnie, na samem dnie...

— Ech, nie! Poco tak daleko!? Poprostu plunę jutro na konwenanse i sprawię sobie ślę!... — odrzekł po namyśle wesoło mężczyzna.

Gdy nazajutrz Karski istotnie nałożył ślę i zaprzągł się do pólki, zdziwienie ogarnęło wszystkich. Wylegli tłumnie naprzód łodzi patrzeć, jak „pan“ ciągnie.

— Pograć się wyszedł! Istotnie zimna pogoda!... Dajno i mnie ślę, Damianie!... — rzekł Tereszkin.

Po paru jednak stajaniach wrócił zziajany do łodzi, wyrzekając na zmęczenie i wołając na całe gardło o przekąski i herbatę.

Karski wciąż szedł.

— Silny człowiek! — chwalił go Guran.

Ulewa z poprzedniego dnia zamieniała się w dokuczliwą „siepotę“, deszczyk sączący się nieustannie z gęstej mgły, zbitej wiatrami w wązkim parowie. Zmącona, brunatna rzeka ciężko pluskała w kamiennem łożysku.

— Silny z pana człowiek! Wszyscy się dziwujemy!.. — pochwalił Damian Karskiego, gdy ten ze zmianą holowników wrócił wypocząć do łodzi.

Po twarzy młodego człowieka przeleciał cierpki wyraz, usta mu drgnęły, lecz poczuł na sobie zaciekawione spojrzenie Indora, Obucha i innych, więc się wstrzymał.

— Dobrego apetytu!.. — życzył mu przeciągle Indor. — Auu!.. Spirydionie, kozia twoja mać, dawaj nam prędzej naszą śmierdziuchę!

Pojawienie się Karskiego u pólki następnego dnia wywarło już niezwykłe wrażenie. Najwięcej zadowolonym z tego zdawał się być Guran.

— Doskonały holownik! Jakby się urodził do śli!.. Idzie jak zegarek, ani szarpnie... — gadał do żony Karskiego.

Życzliwość okazał mu również Koźma, który wbrew zwyczajowi wyszedł w dzień z ukrycia, zajrzał niespodzianie do budy pani Anny i spytał, czy czego nie potrzebuje.

— Jeżeli mężowi nogi popuchną, to niech je wymoczy przed snem w ciepłej wodzie. Oparzelizny należy tłuszczem smarować. Przyniosłem kawałek czystego, niesolonego łoju, niech pani weźmie! Przypiec łój nad ogniem i gdy tłuszcz pociecze, posmarować.

Damian zerkał na Karskiego i kręcił głową.

— Uważam, że z własnej to robi ochoty... z wesołości!.. Mnie to niepotrzebne!.. Zapłaciłem

ludziom i powinni łódź dowlec do samej Maczy... Ale jeżeli kto chce dla własnej rozrywki, to owszem... Niech się bawi, przeszkody pasażerom nie stawiam — wypowiedział się wreszcie ostrożnie.

— To już nie zabawa, to już nazywa się nieporządek! Od tego może się tylko w głowie innym pomieszać! — mruknął surowo stary Bryłkin, patrząc z dzioba łodzi w stronę idących wzdłuż brzegu holowników.

— Cóż ja mogę? — skarżył się Damian.

— A gdybyś mu ślę schował! — przemówił niespodzianie Gubkin.

— Tego nie mogę!.. Oto by mogli ludzie mi się wzburzyć...

— A widzisz? zaczyna się...

— Niech lepiej pan z nim pogada, skoro uważa, że należy... bo ja nie widzę powodu, bo ja uważam, że to zabawa i pieniędzy mu za to nie zapłacę... To mu tylko powiedzieć mogę, że nie zapłacę... Ale czy to będzie korzystne dla przyczyny porządków?

— Właśnie o to chodzi. Gdybyś mu zapłacił, to co — to nic. Najął się. Byłby taki sam cham, jak inni, ale tak to wygląda wcale nieporządnie... On pasażer... Słyszana rzecz, żeby pasażerowie pomagali holownikom? Za cóż płacimy pieniądze?.. On wprowadza jakieś nowe obyczaje!.. Pogadam z nim, pogadam... Dlaczego nie miałbym pogadać z młodym człowiekiem! — dowodził zgryźliwie Bryłkin.

Istotnie, gdy Karski przechodził mimo ich kajuty, kupcy zaprosili go grzecznie do siebie.

Usiadł ciężko na wskazanym kuferku. Na stole stała herbata, wódka i przekąski.

— Niech pan, panie młody człowieku nie wzgardzi i przetrąci co z nami...

— Nie piję!..

— Więc herbaty...

— Żona czeka mię z obiadem.

— Taak! – przeciągnął Bryłkin. — Dobrze! A teraz powiedzcie mi, młody człowieku, dlaczego wyście nieprzymuszeni okolicznościami nałożyli na siebie nagle taką pracę?..

Karski zamyślił się. W tonie kupców w ich obejściu się z nim przeświecało od samego początku jakieś nieprzyjazne usposobienie, które obecnie odczuł szczególnie niemile pod formami zdawkowej grzeczności.

— Chciałem pomódz orylom! — odrzekł szczerze po krótkiej rozwadze.

— Widzimy to, ale czy to pana rzecz!.. Za to odpowiada Damian. Pan zapłacił pieniądze i może od niego żądać!.. A jeżeli on ludzi krzywdzi, pracą przeciąża, to oni mogą się na niego w mieście poskarżyć... Od tego są ustanowieni od rządu urzędnicy, sądy i kary.

Karski zrozumiał, że rozmowa może go zaprowadzić za daleko.

— Czy panom to szkodzi? — spytał łagodnie?

— A szkodzi. Ta hołota gotowa pomyśleć, że jej się należy, że i my obowiązani jesteśmy jej pomagać... Zaczną krzyczeć, w końcu każą nam ciągnąć, a sami będą na naszem miejscu... Tutaj miejscowość pusta. Tutaj w ich mocy jesteśmy... Tu na setki wiorst niema wsi, ani władzy... A czy to pan nie widzi, z kim ma do czynienia?.. Głupi, dzicy ludzie... wszelkie wybierki, warnaki, pijacy... Gdy im się we łbie przewróci, gotowi Bóg wie na co!.. Dlatego nie można im pozwolić wychodzić z koleji!.. Niech pamiętają, czem są, niech ciągną i basta!.. — dowodził przekonywająco kupiec.

Karski słuchał ze zwieszoną głową. Zbyt dobrze znał tutejszych handlarzy, aby wdawać się z nimi w dysputę.

— Pobawił się pan i dość!.. Już my pana prosimy, niech pan dla nas to zrobi i przestanie... Więc zgoda? co?

Karski wstał.

— Nie, nie mogę... Myślę, że obowiązany jestem robić to, co robię!..

— Ach, jaki pan przekorny... Wszystko pan robi na złość... Zmusić pana nie możemy, ale niech pan pamięta, że jak kto krzyknie, tak mu się odezwie...

(C. d. n.)



Stare drzewa.

Na wyspie Teneryfie, w pobliżu miasteczka Orotawa, rośnie stare drzewo smocze *(Dracoena draco)*, którego pień ma w obwodzie więcej jak 20 metrów. Drzewo to otoczone jest innemi drzewami tego samego rodzaju, ale znacznie młodszymi, a te, najlepsze stanowią porównanie dla długiego wieku olbrzyma. Drzewo smocze rośnie jak wiadomo bardzo powoli i Bertholet twierdzi, że wyobraźnia ludzka staje się po prostu bezsilną, gdy się porówna to olbrzymie drzewo z młodymi jego sąsiadami.

W dolinie odległej około 30 mil od miasta Sacramento w Kalifornji, odkryto przed czterdziestu laty grupę drzew gigantycznych, które należą do rodzaju *Tascodimne.* Pomimo wielkiego podobieństwa do cedrów, stanowią *Tascodimne* osobną rodzinę. Dzisiaj wiele z tych drzew uległo zniszczeniu, a największe upadło przed 35 laty. Drzewo to było wysokie na 140 metrów, a słoje pnia wskazywały na olbrzymio długi wiek jego. Dokładne jednak obliczenie liczby stuleci, które to drzewo przeżyło, było niemożliwe.

Drzewa te mimo tak olbrzymiej liczby przeżytych lat, zdają się posiadać zdrowie i siłę młodego wieku, dowodem zaś tego wielka odporność przed ludzkimi zamachami. Z jednego z wyżej wspomnianych drzew, wysokiego 143 metrów zdarto w r. 1854 korę aż do wysokości 43 metra, a mimo to drzewo żyje po dzień dzisiejszy.

Drugi przykład olbrzymiej siły życiowej drzew jest następujący: Niektóre szczepy murzyńskie w Afryce używają drzewa chlebowego do osobliwych celów — wydrążają pnie tych drzew na sposób pieczar i zawieszają w tak utworzonych grobach trupy tych ludzi, którzy za życia nie zasłużyli sobie na uroczysty i religijny pogrzeb. Następnie zabijają otwór deskami, naturalny grób pokrywa się mchem, a drzewo rośnie dalej z trupami w swojem wnętrzu i przechowuje je przez całe stulecia.

Wymienić dalej należy drzewo cisowe w Szkocji liczące około 3000 lat, a wreszcie drzewo kasztanowe, rosnące na Etnie, a znane pod nazwą „*Castagna dei cento cavalli*“, którego wiek obliczają na 1000 lat.

Niedawno upadło w Kalifornii olbrzymie drzewo „*Sequoia gigantea*“ ze starości. Drzewo to było już częściowo spróchniałe, a w pniu pomieścić się mógł wygodnie jeździec wraz z koniem. Olbrzym ten był wysoki na 130 metrów, a niektórzy botanicy twierdzą, że liczył 5500 lat, inni przypisywali mu 5700 a nawet i 6000 lat. W każdym razie stwierdzono na pewno, że drzewo to rosło przeszło 5000 lat.

Opowiadają także o pewnym rodzaju drzewa figowego, które rośnie w pobliżu miasta Rockhampton w Australji i urosło do olbrzymich wymiarów. Średnica pnia jego mierzy 44 a wysokość 100 metrów.

Wogóle wiek drzew jest następujący: wiązy żyć mogą 350 lat, jesion 450, kasztan 600, drzewo oliwne 700, cedry 800 lat. W „*Jardin des Plantes* w Paryżu znajduje się cedr, który sprowadził w r. 1736 Bernard de Jussien z Małej Azji. — W tej chwili liczy to drzewo 167 lat. Dąb może wegetować przez lat 1500.

Na widok takich starożytnych drzew przypomina się zdanie Candolle'a, który twierdził, że rośliny stoją w hierarchji przyrody znacznie wyżej od ludzi. Rosną one na ziemi lat tysiące, podczas gdy ludzie przechodzić muszą metamorfozę, której ostateczne fazy ukryte są przed okiem naszem zasłoną śmierci.

MORZE *)

LEGENDA.

......Dawno, niezmiernie dawno, u początku wszystkiego i przed nazwaniem czasu, kiedy Bóg świat uczynił, przystąpiła doń wielka tęskność, i ujrzał, jako nie wszystko dobre było, i zapragnął dać każdej rzeczy stworzonej oddzielną, wieczną duszę.

Więc nadał górom duszę, która się modli, a gęstym borom duszę, która wieczyście i wonnie śpiewa, a jeziorom duszę, która pamięta...

A księżycowi powiedział: będziesz miał słodycz błogą nieopisanej, cudnej miłości, abyś po wieki goił ból nieskończonej modlitwy, i wstrząsanego śpiewu i wywołanej pamięci.

I gdy tak wszystkie Pan Bóg po wszystek czas obdarował, ostała jedna dusza — za wielka.

Zamyślił się oto Stwórca, a potem... przechylił się mocą swoją nad bezmiarami przepaści i oddał tę duszę — morzu.

I wnet poczęło ogromnie cierpieć — morze.

Wstawało rozparte nieokiełzanym oddechem, płakało strasznem szlochaniem wiecznej żądzy...

Aż wreszcie kędyś wzdęło się w przeraźliwym łoskocie i szło niszczące ku ziemi.

Ale Bóg wiekuiste dłonie rozłożył: nie pójdziesz.

Opadło w wielkim bólu: „O, pozwól, Panie! Pozwól, a w jednej chwili tę nędzną łupinę ziemską okryję, i przejdę po niej i sięgnę, kędy jest męce mojej świetlista ulga przez słodki blask miesiąca“.

Ale głos Boży nad niem:

„Żywie ziemia, którą-m utworzył i nie dam na zniszczenie“.

Więc rozgorzało krzykiem niezmiernej męki, aż po święcony próg wieczności:

„Czyż nigdy, Panie?...

A Boży sąd odpowiedział:

„Pokąd na onej ziemi żyjący sami nie poczną zabijać i deptać Życie“.

Jadwiga Marcinowska.

*) Urywek z większej całości.



Złote milczenie.

Świat się w dzisiejszych czasach na dobre rozgadał, gadulstwo kwitnie wszędzie w życiu prywatnem, publicznem, w romansach, w rodzinie i wszędzie ten przywilej starości rozwielmożniony jest, na świadectwo chyba, że i ludzkość się może trochę podstarzała. A jednak jest to rzecz ciekawa i uwagi godna — pisze jedna z gazet angielskich — że niektórzy mocarze tego świata, byli właśnie o tyle oszczędni w słowach, ile rozrzutni w czynach. Przy Moltkem został przydomek „wielki mruk“, a nie mniej milczącym był Wallenstein. „Żył on w atmosferze milczenia i nie wymówił ani jednego słowa, któreby nie było koniecznie potrzebne — nie znosił również tego, gdy inni w jego obecności nad miarę się rozgadywali. Jeden z kamerdynerów jego srodze został ukarany za to, że niepotrzebnie przerwał ciszę, panującą w około niego, słudzy jego milczeli jak zaklęci, dokoła domu chodziły patrole i stały barykady, aby mu nikt się nie ważył przerwać ulubionej ciszy. W porównaniu do Wallensteina był Diogenes grecki gadatliwą babą.

Zwłaszcza charakterystycznem jest milczenie dla wielkich wodzów świata. Napoleon szczyci się, że wobec mężczyzn nie stracił niepotrzebnie

ani jednego słowa i odpowiadał zawsze monosylabami. Przytem nic nie uchodziło jego uwagi, tak że w przeciągu minuty widział on daleko więcej, aniżeli inni w przeciągu kwandransa. Gdy księciu Malborough jego generałowie mieli zdawać raporty, wyciągał on zegarek z kieszeni ze słowami „daję panu minutę czasu“ i biada oficerowi, któryby tę minutę był przekroczył. Książę Wellington był dla swojego sztabu prawdziwym sfinksem i najczęściej poruszenie głowy lub zmarszczenie brwi było jedyną odpowiedzią, którą było można z niego wydobyć. Gdy go raz zapytano, jaki byłby najodpowiedniejszy mundur dla generała, odparł „wielka głowa i krótki język“.

Największy zarzut, jaki czyniono prezydentowi Grantowi polegał na tem, że nie chce nic mówić, a więc widocznie ma wiele rzeczy, z którymi się kryć musi, ale w tem właśnie milczeniu leżała prawdziwa jego siła. Rozkazy jego były idealnie krótkie, a gdy go raz na oficjalnem towarzyskiem zebraniu pewna dama z żartów zapytała dlaczego nic nie mówi i jej nie bawi — odparł „przecież milczenie jest najlepszą zabawą“. Karol Wielki był bardzo skąpy w słowach i mawiał nieraz za Konfucjuszem „milczenie jest najlepszym przyjacielem, który nigdy nie zdradzi“. Hannibal był „mężem o mosylabowych wyrazach“. Juliusza Cezara nazywali jego żołnierze sfinksem, a w najnowszych czasach okazuje lord Kitschener „siłę, która leży w milczeniu“. Nawet wielcy politycy i pisarze, którym właściwie słów nigdy braknąć nie powinno należeli czasami do największych mruków. O Addisonie powiadają: „w jego manierach nic tak bardzo nie zwracało uwagę jak szorstkie milczenie, które przez jego przyjaciół łagodnie było nazywane „skromnością“. Jeden z jego znajomych pisze, że w czasie obiadu wspólnego „otwierał on usta tylko do jedzenia“. Tomasz Carlyle, był także niepospolitym mrukiem i palił nieraz całymi godzinami fajkę w milczeniu przerywanem od czasu do czasu krótkiem mruknięciem. Jego przyjaciel i sąsiad Leigt Hunt pisał raz w liście: „Wczoraj przeżyłem bardzo przyjemną godziną z Carlylem. Skoro stanąłem we drzwiach zawołał on „holla znowuś tutaj!“ a gdy odchodziłem powiedział krótko „dzień dobry“. To była cała rozmowa, którą mnie zaszczycił. Ale jak wymowne było jego milczenie, patrząc tylko na jego oczy, wyraz twarzy, odszedłem mocno na duchu pokrzepiony. Jak zaś miłym był w towarzystwie Dante Rosetti dowodzi przykład, że raz w czasie wielkiego zebrania w towarzystwie nie przemówił do nikogo ani jednego słowa, mimo, że go zewsząd pytaniami oblegano. James Thomson był ciężkim mrukiem, a Nataniel Hawthorne doprowadzał milczenie aż do skandalu, jak to opisuje pewna dama: „Mr. Hawthorne siadł w rogu pokoju i rumienił się aż po uszy gdy go kto zagadnął. Chciałam z nim mówić o jego książkach, ale odpowiadał mi tylko słowami „tak“, „nie“ że ostatecznie zwątpiwszy o wszystkiem musiałam go pozostawić jego własnemu losowi.



ZAGADKI LITERACKIE. (4)



(WYKAZ PSEUDONIMÓW ZESTAWIONY PRZEZ STANISŁAWA BOTWIŃSKIEGO.)

Mahoń = Jan Rutkowski.
Maro = Marja Rodziewiczówna.
Marja = Marja Wiśniewska.
Marjan Kwiryn = Włodz. Raszewski.
Marjusz = Wład. Rabski.
Mast = St. Matwij.
Mieroszewicz Jan = Wacław Gąsiorowski.
Mierzb Edma = Bron. Ostrowska.
Młyński Kamień Mścisław = Adolf Neuwert Nowaczyński.
Nałęcz Wanda = Wanda Zawiłowska.
Niemir = Z. Maślankiewicz.
Nik = Ignacy Nikorowicz.
Nosocomialis Dr. = Bol. Jakimiak.
Nowina Jan = Józef Sroczyński.
Ogórek Wincenty = Ludwik Szczepański.
Olch August = Jan August Kisielewski.
Orkan Władysław = Wład. Smreczyński.
Orso = Zygmunt Niedźwiecki.
Ortwin Ostap = Oskar Katzenellenbogen.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Juliusz Słowacki: *Genezis z Ducha* opracował Wincenty Lutosławski: Część pierwsza: Tekst i komentarz krytyczny z przedmową ogólną Kraków 1903. Nakładem Eleusis. Po wydaniach F. H. Richtera z r. 1874 i Dra Biegeleisena z r. 1884 jest to trzecie wydanie „pisma, zdaniem autora, najważniejszego ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał", zawierającego z jego ówczesnego stanowiska „Alfę i Omegę świata". Jest to jednak zarazem istotnie pierwsze krytyczne wydanie nietylko samej „Genezis", ale w ogóle pierwsze krytyczne wydanie jakiegokolwiek tekstu Słowackiego, z pełnym przynależnym aparatem krytycznym dokonane. Będąc nawet wprost wrogiem działalności p. Lutosławskiego, przyznać mu się musi w tym wypadku zasługę ogromną. Pietyzm wielki dla autora, oraz dokładna znajomość wszelkich metod filologicznej krytyki tekstów, złożyły się w tem wydaniu na całość, która odtąd służyć powinna jako przykład tego, czego żądać powinniśmy od dalszych wydań krytycznych Słowackiego. Słusznie w przedmowie swej pisze p. Lutosławski, że „z tych fragmentów pozostałych po niezmiernie intenzywnem życiu lat ostatnich, w których Słowacki więcej poezji sam jeden przeżył i przemarzył, niż w epoce największej zewnętrznej twórczości — czytelnicy dopiero wtedy nauczą się tonu swego życia, gdy każdy wyraz z religijną skrupulatnością zostanie oddany przez wydawców — ukazując nam w kolejnych przekreśleniach i poprawkach żywy ruch twórczości". Część druga wydawnictwa objąć ma komentarz treści poematu. *A. C.*

Książki dla wszystkich. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie oddaje do użytku szerokich warstw mnóstwo pożytecznych dziełek, popularyzując w ten sposób wszystkie prawie gałęzie wiedzy ludzkiej. Tych „książek dla wszystkich" wyszło dotąd przeszło 120, ostatnie, które ukazały się na półkach księgarskich są następujące: „Co każdy o hygienie wiedzieć powinien" — popularny wykład Br. Marchlewskiej, zajmujący się w szczególności mieszkaniami i odzieżą pod względem hygienicznym, — dalej z tego samego działu: „Pielęgnowanie dziecka w pierwszym roku jego życia", tłómaczenie dziełka Dra med. Maryi Vögtlin; z zakresu psychologii: „Dziecko nerwowe", opracowane przez Dra Sterlinga na podstawie dzieł Combe'a, Spencera, Brunsa, Sullyego, Openheima i i.; dalej odczyt p. Izabeli Moszczeńskiej: „Reformy w wychowaniu moralnem". Bardzo pożyteczną jest książeczka Br. Danielewicza pt. „Ubezpieczenia życiowe". Astronomję popularyzuje dziełko prof. Martina (tłómaczenie): „Gwiazdy, ich cechy, przyroda i niebo". Z zakresu filozofji mamy spostrzeżoną rozprawkę Türcka: „Człowiek genjalny". Ceny książeczek są bardzo niskie, przeważnie od 26 do 52 groszy.

NOTATKI. *„Marsz żałobny" Szopena.* Przed kilku dniami opowiadał jeden z francuskich dzienników prowincjonalnych, że „marsz żałobny" Szopena skomponowany został, wśród nieco dziwnych warunków, i że malarz Ziem, który był osobistym przyjacielem Szopena, może coś bliższego w tej sprawie powiedzieć. Otóż jeden ze współpracowników paryskiego *„Matin"* udał się do Ziema z zapytaniem, czy to prawda. „Spotkałem powiada sprawozdawca sedziwego artystę, który już w r. 1840 zajmował się malarstwem, a i dziś maluje widoki Wenecji, wesołego i czerstwego w mieszkaniu jego na Montmatre. Odpowiedział mi na zapytanie z uśmiechem, że „dziwne warunki" przy kompozycji marsza żałobnego pozorną tylko odgrywały rolę. „Było to — mówił — przed 55 lub 56 laty, gdyśmy pewnego dnia zabawiali się po obiedzie w mojem atelier, Chewandier de Baldrome, Ludre, kompozytor de Polignac, malarz Ricard, Chopin i ja — sami weseli kompanioni. Firanki przedzielały atelier na trzy części. W jednej z nich stał szkielet, który czasami nakrywałem materją, a dalej bardzo mierny fortepian, kupiony od handlarza, z którego nadto wyciąłem cztery deski, na których namalowałem cztery obrazy. Jeden z tych obrazów posiada jeszcze po dziś dzień córka mojego przyjaciela Marcotte. Fortepian więc sam był niczem więcej jak tylko „szkieletem" przykrytym zasłoną. Znalazłszy się w tym przedziale chwilowo sam na sam z Ricardem, wpadłem na pomysł, który tylko nasze wesołe wówczas usposobienie może usprawiedliwić. Ubrałem szkielet w materją, którą Ricard zdjął z fortepianu i kazałem mu przez odpowiednie poruszenia piszczelami, wykonywać różne ruchy. Wszyscy śmieli się, a Polignac owinął się razem ze szkieletem w zaslonę, przystąpił do fortepianu i uderzył kilka akordów, co nas jeszcze bardziej rozweseliło. Nagle Chopin, jakby nagłem natchnieniem owładnięty skoczył z krzesła, podbiegł do fortepianu, usiadł obok Polignaca ze szkieletem i zaimprowizował wspaniałą melodję, znaną w całym świecie pod nazwą „marsza żałobnego". Nastała między nami piorunująca cisza, a głębokie wzruszenie ogarnęło nas wszystkich. Był to wspaniały wieczór! Wszystko inne, co opowiadają o powstaniu „marsza żałobnego" jest nieprawdą zakonkludował starzec, kończąc swoją romantyczną opowieść.



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.